

KAŻDEMU JEGO

EVEREST

MIROSLAW

FALCO

DAŚAL



W 30 ROCZNICĘ
*największej tragedii w historii
polskiego himalaizmu*



Bezdroża

SPIS TREŚCI

WPROWADZENIE	5
LHOTSE – HIMALAJE, NEPAL '85	11
DHAULAGIRI – HIMALAJE, NEPAL '86.....	67
LHOTSE – HIMALAJE, NEPAL '87	159
K-2 – KARAKORUM, PAKISTAN '87/88.....	239
MOUNT EVEREST – HIMALAJE, NEPAL '89	345

Kup książkę

Poleć książkę

Oceń książkę



**Księgarnia
internetowa**



**Lubię to!
Nasza społeczność**

Fotografie na okładce: archiwum Krzysztofa Wielickiego
Redakcja, projekt układu i skład: Artur Figarski

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor (spadkobiercy Autora) oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor (spadkobiercy Autora) oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce. Wydawnictwo HELION dziękuje autorom zdjęć za ich udostępnienie i zgodę na publikację.

Rozdział *Dhaulagiri* pochodzi z książki:
Mniej-więcej niż Dhaulagiri, Almapress, Czeladź 1990

Pozostałe rozdziały pochodzą z książki:
Każdemu jego Everest, Wydawnictwo AT Tadeusz Hudowski – Andrzej Marcisz,
Londyn – Kraków b.r.w.

Redaktor prowadzący: Jacek Włodarczyk Book Marketing Research Sp. z o.o.

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19; 32 230 98 63
e-mail: redakcja@bezdroza.pl
WWW: <http://bezdroza.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<http://bezdroza.pl/user/opinie/bekaje>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN 978-83-283-6092-1

Copyright © Elżbieta Dąsał 2019

Printed in Poland

LHOTSE – HIMALAJE, NEPAL '85

(Wyprawa katowickiego Klubu Wysokogórskiego)

30 sierpnia

W końcu po 13. dniach karawany założyliśmy bazę. Prowizorycznie, na niby, ale stoi. Na dodatek pod Wielką Górą. Nie widać jej zbyt dobrze, mgły, deszcz ze śniegiem nie pozwalają jeszcze się bać. Kilku-godzinna marszruta we wcale niebrzydkiem otoczeniu doprowadziła nas wreszcie na Miejsce Przeznaczenia. Jestem zaskoczony pozytywnie, nawet bardzo. Straszli Jugole, straszli Czesi, że ponuro, wietrznie, brak wody, że pył jeno i kamienie, a tu proszę – trochę zieleni, skałki, wesoło ciurkający strumyczek, nawet kilka mniejszych-większych stawków do ewentualnej kąpieli (to pozostawiamy na później, bo na razie kąpiel mamy z nieba). Bardzo cieszy mnie ten stan rzeczy, bo przecież mamy spędzić tutaj trochę czasu, a po Plaza de Mulas pod Aconcaguą wiem, jak bardzo, nawet już po miesiącu, jest się zmęczonym psychicznie bez kontaktu z Naturą (ożywioną – oczywiście). Zwijamy się jak w ukropie, zimno, mokro, rozstawiamy kuchnię, namioty prywatne – już wcześniej dogadałem się z Rafałem, śpimy w jednym. Rozpakowujemy część bębnow – jakmeni czekają na opróżnione i sprzedane przez nas bębny. Pod wieczór jesteśmy już jako tako urządzeni. Nawet Góra uchyliła rąbka zasłony – jest ogromna, imponująca, godna. Ale jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześniej, jeszcze jest tyle przyziemnych, drobnych spraw do załatwienia tutaj, obok, zaraz.

Proszę zaczekać. Kolacja obfita, dobra (chyba dobrzy kucharze nam się trafili, niestety). Pół nocy przewracam się, boli mnie brzuch, nawet nie głowa, chociaż miałyby prawo – wszak jesteśmy mniej więcej na 5200 m, jak sędzę. No, niech już przestanie, przecież nie jest się

Kup książkę

Poleć książkę

dzieckiem, żeby od razu brzuch bolał. Zасыpiam nad ranem, ale może i dobrze, jutro będzie mi się lepiej spało

31 sierpnia

Rano Góra łaskawie ukazuje na chwilę swoje oblicze. Dzień dobry, ale wysoko. Boże Ty mój, bardzo trzeba zadzierać głowę. Jeszcze nie widać całości, zasłoniętej mgłą, ale i to co widać wystarczy, pod czymś takim nie byłem – ściana jakby wyrastała z lodowca, pięła się hen aż do nieba. Ale jeszcze nie przymierzam się, nie konfrontuję – jedynie zmysł wzroku rejestruje jej obecność, krzątamy się po obejściu, to co było wczoraj jedynie prowizorką, dzisiaj stabilizuje się, urealnia. Kuchnia i sala jadalno-bywalna jest ogromna, stół z beczek, siedzenie z kamieni przykrytych linami i gąbką, pod ścianami skład żywności. Budujemy obok pomieszczenie na magazyn, izbę radiowo-łącznościową i aptekę. Zajęcia w podgrupach trwają do popołudnia-obiadu i o dziwo odbywają się bez spieć i bez zadrażnień tak normalnych przecież przy tego typu czynnościach. Tutaj całością pracy kieruje Walek i robi to całkiem dobrze. Tradycyjnie już po południu zaczyna padać i trwa tak aż do wieczora. Czuję się nieźle, przeszedł mi ten cholerny ból brzucha i tylko trochę łupie mnie w skroniach. Ale to normal, tak być musi. Długo siedzimy z Rafałem w jadalni, ja piszę, z uruchomionego niedawno magnetofonu leci Jim Morrison. Skończył mi się długopis, wypisał się, wychodzimy przed chałupę i o Boże. Pełnia Księżycza i w jego poświęcie cała południowa ściana, kontury, szczegóły, światłocienie. Po raz pierwszy dochodzi do mnie, że tam stoi Cel, wyraziście uzmysławiam sobie zależność, już nie letnio, nie obok, lecz w środku, lecz razem. Więc się zaczęło, znowu się Coś zaczęło, tak czy inaczej trzeba ruszać.

Po śniadaniu reperuję gitarę, pogoda jest dobra i rada w radę we czwórce postanawiamy wyjść się rozejrzeć pod ścianę. Słoń, Rafał, Jaś i ja kilka godzin łazimy po lodowcu, wpatrujemy się jak sroki w jeden gnat. Widać, że szansa na oryginalną, nową, polską drogę nie mamy żadnej. Formacje, o których myśleliśmy w kraju, rzygają systematycznie śniegiem, lodem i kamieniami. Pozostaje albo kończyć drogę Jugosłowian, albo wykorzystać cestę Czechosłowaków i pociągnąć do wierzchołka głównego. Ta druga możliwość wydaje mi się sensow-

niejsza. I to z kilku przyczyn. Na pewno jest bezpieczniejsza, bo filar – powinny być poręczówki po zdobywcach – spotkani w Kathmandu Czesi zapewniali, że góra od rozłączenia z ich drogą jest łatwa (?), jakiś kular śnieżny, gdy u Jugosłowian powyżej 8 tys. m jest jeszcze wspinanie. Poza tym, wydaje mi się, że ta droga rokuje większe szansę na wierzchołek w przypadku jakiegoś załamania, raz pogody, czego wykluczyć nie sposób, a dwa załamania zespołu, jaki tu tworzymy, czego też wykluczyć nie można. Przecież większość z nas, poza Kapralem, Napałem, no i Januszem, nie działała tak wysoko, skąd pewność, że i powyżej 8 tysięcy będziemy tą samą ekipą co teraz. I jeszcze to rozciągnięcie w czasie, nie wiem doprawdy, zbyt małe mam doświadczenie w tego typu górach, by tak rzucać wszystko na jedną szalę. Mnie bardzo interesuje wierzchołek i tu widzę możliwości. Jest jeszcze jedna sprawa, o której wiem, ale wolę nie mówić. Bo jestem przekonany, że gdy dojdzie do ataku szczytowego na drodze Jugosłowian, może nie być miejsca dla wszystkich, może nie być czasu na powtórny atak. A ja chcę wyjść, jeśli tylko zdrowie i siły dopiszą. Dlatego też w czasie popołudniowej dyskusji decyduję się postawić na wariant czeski. I o dziwo, poza Napałem, który jest zdecydowany kończyć drogę Jugosłowian (na ile w tym przekory, ile ambicji, a ile chęci – nie wiem), reszta chłopaków milczy lub udziela dyplomatycznych wypowiedzi. Nie ma na razie problemu, nikt jeszcze nikogo do wiążących deklaracji nie zmusza. Ja zagrałem jasno, co wcale nie oznacza, że jeśli inne decyzje zapadną, będę negował czy działał destrukcyjnie. Nie, jestem skłonny przyjąć i wariant jugosłowiański, jeśli tak być musi i „nie wracajmy więcej do tego tematu” – jak powiada Kapral. Nie wracajmy więc, i w przyjacielskiej i zgodnej atmosferze odraczamy zapadnięcie decyzji do jutra lub nawet pojutrze. Ja idę jutro z Kłodką szukać poręczówek na drodze Czechosłowaków, a Napał ze Słoniem udają się na przeciwny Lhotse pagór Illen Peak – zakrytym zwany, wypatrywać możliwości w kopule podszczytowej. Do zobaczenia. Dość długo gram sobie jeszcze na gitarze, obok siedzi Walek – fajny jest ten facet, jakby zagubiony nieco, nieobecny przy bardziej poważnych rozmowach, ale z pewnym specyficznym poczuciem humoru; nieco dalej siedzi Janusz, Rafał, Jaś... Gram *Kotłyszankę dla Joanny* Bel-lona i rozchodzimy się do namiotów, jeszcze bez niechęci czy wrogości. I oby tak zawsze...

Kup książkę

Poleć książkę

2 września

Wychodzimy niespiesznie, jest po 9, gdy obydwaj z Kłodką uzbrojeni w raki, czekany, linę, kaski udajemy się na pierwsze poważne penetracje ściany. Filar Czechosłowaków stanowi dzisiaj nasz cel. Długo przebijamy się najpierw lodowcem, później usypiskiem lawinowym – aż wreszcie osiagamy podstawę filara. Niestety, pomimo wnikliwej lustracji ściany nie udaje nam się znaleźć żadnych śladów po poprzednikach. Udaje się jedynie zlokalizować miejsce startu drogi i kilka pierwszych wyciągów (albo tak nam się tylko wydaje). Z tym też wracamy do Bazy, prosto na obiad i tuż przed deszczem, który leje do późnych godzin wieczornych. Napał i Słoń łączą się o 17, są gdzieś tam na grani Illen Peaku, rozbili namiot i czekają na jutro. My wszyscy też, bo chyba byłaby najwyższa pora na jakieś decyzje – trzeba przecież zacząć się wspinać.

3 września

Tak, od jutra zaczynamy. Niestety, skład nasz i tak nieliczny zdzięsiątkowały choroby: Kłodka z Rafałem oraz Kalim – naszym szefem kuchni, zeszli na dół do Chhukungu. Kłodka ma zapalenie oskrzeli i wygląda raczej nietęgo, natomiast Rafał po przedwczorajszym porażeniu słonecznym czuje się fatalnie, ma wysoką gorączkę i silny ból głowy. Kolega Kalu choruje od momentu przyścia do bazy: wysokość – to też bardzo słusznie Szczawiu zsyła ich kilkaset metrów niżej. Opuścili też bazę Krishna z jednym z posłańców – wzięli listy i długą drogą udali się do Kathmandu. Mają wrócić w drugiej połowie września z drugą karawaną (uzupełnienie z samochodu Sajnoga) lub zgoła pod koniec miesiąca. Słowem, bardzo się wyludniła baza. Cały dzień pracuję z Jasiem – tniemy taśmy, klarujemy słowacką poręczówkę, dopasowujemy raki – roboty jest od cholery. Bo jutro wychodzimy. I prawdopodobnie na czeski filar. Nawet Napał i Słoń, którzy wrócili zmoczeni i zmęczeni po nieudanej wczorajszej eskapadzie nie oponują zbyt gwałtownie. Więc niby wyszło na moje, ale wcale tak tego nie odczuwam. Na moje wyjście, dla mnie przynajmniej, na wierzchołku Lhotse. Naprawdę, cieszy mnie fakt, że wreszcie drgnęło, wyszliśmy z impasu, bo czuję się doskonale, żadnych bóli, żadnych niedyspozycji, tylko działać. A zapowiada się dobrze. Jutro wyruszamy z Kapra-

lem – jako dwójka szturmowa – raki, haki, dziabaki, liny itp. Jasiu zaś z Majerem rozciągać mają poręczówki. Więc w konie, chłopaki, bo chociaż teraz (późnym wieczorem – 21 z minutami) sypie śnieg z deszczem, może jutro niebo będzie łaskawsze. Oby, w każdym razie budzik nastawiło się na 4.30. Dobranoc!

Aha, poprzedniej nocy zaczął sypać mokry śnieg i trzeba było zrywać się na ratunek gospodarstwa. Napadało tej mokrej bryi tyle, że maszty namiotów, kuchni i magazynu z trudem utrzymały ten napór. W samą porę pośpieszyliśmy z odsieczą, chociaż godzina była jak najbardziej senna – 2 w nocy. Więc żeby było mi to ostatni raz, no! A teraz już naprawdę – dobranoc!

4 września

Idziemy! Objuczeni sprzętem, linami forsujemy lodowiec, dalej świeże, chyba z nocy, lawinisko, podchodzimy do przewężenia. Nagle Kapral spostrzega bardzo daleko z lewej strony i nisko wiszące poręczówki Czechów. Hm, głupio mi, że nie zobaczyłem ich podczas przedwczorajszego rekonesansu, ale są tak daleko, że prawie nie na drodze. Trudno. Ale nie ma tego złego – rada w radę postanawiamy iść własnym, tzn. moim, wypatrzonym wtedy wariantem. Świetnie, podchodzimy jeszcze trochę i rozpoczyna się odwieczny rytuał przedstartowy. I sam start. Prowadzę pierwszy wyciąg (na szczęście i na pogodę, sic!). A pogoda jest średnia, nie leje, nie sypie, ale czuć, że w każdej chwili może zacząć. Idę. Teren nietrudny, śnieg, kominek, stanowisko. Dochodzi Krzyś, teraz on prowadzi, potem ja, i on, i tak dalej, i temu podobnie. Jaś z Majerem rozciągają poręczówki – wszystko gra. Zaczyna padać śnieg, mgła gęstnieje wokół nas, ale nie przerywamy pracy. Została jeszcze jedna asekuracja. Krzysiek dochodzi do pasa skałek i... powietrzem targa okrzyk radości. – „Są poręczówki”. Tak, sprawdziły się nasze przewidywania, gdzieś tu musieliśmy się połączyć z drogą czeską. Gdzieś tu, tzn. po około 500 m samodzielnego wspinania. – „Brawo Krzychu” – wołam, po czym likwiduję stanowisko, mocuję poręcz i idę do niego. Faktycznie, lina jak drut, hak wbity po ucho, na dodatek jest to diagonal CVM. Gratulujemy sobie tak udanego początku, klarujemy sprzęt, zawieszamy w worku na haku i... ziuu do domu. Jeszcze tylko chwila napięcia przy trawersowaniu lawiniska

i już lodowiec, na nim posiłek i chociaż przemoczeni jesteśmy do majtek, nie opuszcza nas dobry humor. I optymizm. Mnie ponadto cieszy fakt, że działam z Krzyskiem, dobrze mi się z nim wspinało, jemu, jak sądzę – również i jakiś czas (może do końca, chociaż chyba nie) będziemy pracować razem...

W Bazie radość. Herbata, spóźniony obiad, relacje ze ściany. Mam wrażenie, jakby pomimo zdecydowanie złej pogody (deszcz ze śniegiem, wilgoć, zimno) w powietrzu pojaśniało, zaczęło coś żyć między nami, narodził się wspólny problem, wspólna idea. Jutro Walek ze Słoniem spróbują założyć pierwszy obóz. We dwójkę, bo Napał coś słabuje, ma opryszczkę czy innego jakiegoś syfa i nie czuje się najlepiej. Również Kłodka zdecydował się ze swoją chorobą opuścić Chhukung i udał się jeszcze niżej, aż do Namche Bazar. Za to Rafał i Kalu mają jutro powrócić do Bazy. Tyle danych personalnych.

Po obiedzie siedzimy czas jakiś jeszcze razem, słuchamy kaset, rozmawiamy i niepostrzeżenie rozchodzimy się do namiotów. Długo leżę w ubraniu, czytam Stachurę, wesoły płomyk świeczki pełza po namiocie, ileż to jeszcze przed nami, przede mną... Pora wyjść, oddać moc i zanurzywszy się w ciepłutkie puchy – zasnąć. Lecz sen nie nadchodzi, myśli leniwie snują się, zahaczając to tu, to tam, to ówdzie, przywołują zdarzenia, osoby, sytuacje... Już późno miła moja, już późno, chylą się żółte mleczce, w doliny napływa gór cień, już późno, już późno...

5 września

Po raz pierwszy Birbal (pierwszy kucharz) przyniósł kawę, kawę z mlekiem na dodatek. No, no, całkiem miła sytuacja, niezwykajna. Nie chce mi się wychodzić z puchów, wypijam przyniesioną niespodziankę i długo, ze dwie godziny chyba, gram na gitarze przerabiając „szare na złote”. Wpadł mi do głowy pomysł bloku śpiewno-muzycznego i z zabranych z kraju notatek usiłuje sklecić jakąś całość. Będzie tu i *Rzeź niewiniątek*, i *Encore*, i *Mur*. W każdym razie jest koncepcja, trzeba by to jeszcze rozbudować, przemyśleć, uzupełnić. Zrobi się, czasu powinno być dość, choć nie w tej chwili, bo nadchodzi Kaprał i wzywa na śniadanie. Tak jest, się idzie. Od śniadania do obiadu czas upływa na rozwieszaniu i szybkim ukrywaniu mokrych rzeczy, bo pogoda nie lepsza niż wczoraj, ciągle pada.

Po południu z białej kipieli wyłonili się najpierw Rafał, a w chwilę potem Kalu. Powoli załoga zaczyna się kompletować, jeszcze tylko Kłodka. Rozgryzamy z Januszem różne warianty szachowe z książki – ależ ci faceci są genialni, co za kombinacje, jakie poświęcenia, koncepcje. Wirtuozi. Po obiedzie pakujemy żarcie, sprzęt, liny, namiot – idziemy jutro, na zatrąte, bo nieboskłon nie wróży poprawy. Ekipa ta sama co poprzednim razem, tzn. nasza dwójka oraz Janusz i Jasiu. Spróbujemy założyć „dwójkę”, albo tylko wynieść sprzęt i rozstawić drugi namiot. Wszystko w rękach Pani Aury. Przynajmniej prześpiemy (albo przeleżymy) noc trochę wyżej. Na razie ciągle pada! W mokrych „wewnętrznych” rzeczach wchodzę do śpiwora, bularka wilgotna, także „adiabatki” i skarpetki raczej uroku życia nie dodają. Ale nie ma wyjścia, do jutra muszą być jeśli nie suche, to chociaż ciepłe. Więc do jutra, zobaczymy, „jak kij popłynie”.

6 września

Ach, przedświt i poranek jak marzenie. Jeszcze gwiazdy, księżyc, powoli nieboskłon blaknie, rozwidnia się, gdy jemy wczesne, bo „około piątej” śniadanie. Objuczony jak wół – wziąłem „Turnię”, maszty, szable śnieżne, linę oraz rzeczy osobiste do przebrania, sprzęt – idę szybko „dróżką” znaną, przez lodowiec, dalej rozległe lawinisko. Towarzyszy mi już tylko Kaprał, chłopcy ciągną gdzieś z tyłu. Na lawinisku spotykamy schodzącą dwójkę: Walka i Słonia. Wymieniamy grzeczności, uwagi o drodze, o warunkach i dalej mkniemy (tu należy wprowadzić cudzysłów, jeśli chodzi o nas), oni w dół, a my – wręcz przeciwnie. Pierwsza poręcz, uprząż, raki, małpa i do góry. O 9.30 jesteśmy już z Kapralem na miejscu, gdzie nasi poprzednicy rozstawili pierwszy namiot. Przerwa, czekamy na Jaśka (tj. na liny), w tak zwanym międzyczasie Krzys gotuje herbatę – ohydną oraz barszcz czerwony z rosółem – wspaniały. Nadchodzi Jaś, zabieramy liny, ustalamy plan akcji i dalej, dalej, dokąd – to (nie)ważne wcale. Pogoda do tej pory dobra, nawet nazbyt, bo silnie operujące słońce rozmiękcza śnieg i bardzo osłabia organizm, psuje się raptownie, wokół zalega gęsta mgła, zaczyna padać mokry śnieg. W tym mleku słychać tylko szum i huk lawin, a to z lewego, a to z prawego kanału (oraz kanału La Manche). O rozsądku, o mądrości ty górską,

Kup książkę

Poleć książkę

dzięki tobie jesteśmy tu na filarze i jakieś tam lawiny nie stanowią dla nas więcej niż dodatkowy element dźwiękowy, nieprzyjemny – to prawda, ale przecież nie dotyczy nas bezpośrednio. Co się dzieje na drodze Jugosłowian – lepiej nie mówić. Nie mówi się więc ni słowa zbędnego, idzie się do góry, do góry, stanowisko, poręcz, dochodzi Krzyś, ciągnie dalej, jest drabinka na uskoku skalnym, powyżej punkt asekuracyjny, dalej, stanowisko, teraz ja. Zgodnie z ustaleniami. Jaś podnosi do drabinki namiot i sprzęt biwakowy, Janusz niesie dwie liny, a śnieg sypie coraz gęściej. Wciągam na siebie kurtkę goretex – przyszła pora sprawdzić te zgniło-kapitalistyczne wynalazki. Są jednak świetne, może póki nowe, ale prawie wcale nie przepuszczają wody. Po godzinie, może dwóch, cały chłam mamy z Kapralem zgromadzony już w jednym miejscu, chłopcy wrócili do swojego „domku”, a my w tej zadymie rozstawiamy swój. Niestety, mocno zużyta i stara jest nasza „Turnia” – przecieka, przepuszcza, zamaka i co tam jeszcze nie życzyć sobie można. Ale jest, i to stanowi główną jej zaletę. Rozwaleni w jej wnętrzu usiłujemy walczyć na różne sposoby z ociekającą wodą powłoką sufitu, bo oprócz rozmakającego śniegu, dodatkowo wałą na nią strugi wody z okapu, pod którym rozbiliśmy namiot. Ja zbieram wodę przesuwając po powale garnuszkami, Krzyś przeciera sufit i ściągamy jakimś gałganem, zabawa jest przednia i zajmuje nam czas prawie do wieczora. Oprócz walki z żywiołem udaje się też nam spożyć wcale obfity posiłek i wymienić kilka uwag na temat przeciwności losu. Zwłaszcza że zaczynamy podmakać od spodu i powoli grubość karimaty okazuje się zbyt mała jak na taki przybór wód (na Odrze w okolicach Miedoni stan ten układał się w strefie stanów średnich i wynosił...). Ale i my zdwajamy wysiłki, śmiało sięgamy do rezerw. Raz po raz wykręca się gałgan, opróżnia garnuszek, przemieszcza co cenniejsze przedmioty. Późnym wieczorem sytuacja jest opanowana, z sufitu przestaje kapać, podłoga jest prawie osuszona – można wpełzać do śpiworów. To nocny spadek temperatury przyszedł nam z pomocą, umożliwił zajęcie pozycji horyzontalnych, a docelowo – sen. Bo sam sobie się dziwię, ale tu na wysokości prawie 6 tys. metrów czuję się bardzo dobrze i bez żadnych prochów (Kaprал zwyczajowo już ładuje w siebie jakieś świństwa) udaje mi się zasnąć i to całkiem nieźle. Oby tak dalej.

7 września

Nic nie jemy, wypijamy tylko pozostawiony wczoraj kompot, pakujemy plecaki, porządkujemy plac wewnątrz i zewnątrz namiotu i bez wielkiego żalu dajemy w dół. Jak zwykle rano boli mnie trochę głowa, ale bez paniki, w końcu jest to normalna reakcja organizmu, po to tu się jest mniej więcej. I tak wdzięczny jestem swojemu „osiołkowi” za przespaną noc. W namiocie pierwszym też jest ruch, zastajemy chłopaków na początkowych metrach poręczówki, więc wspólnie obniżamy się do podstawy ściany. Tu spotykamy Rafała i Napała – pięknie, pełne zaziębienie i rotacja. Przekazujemy im nasze sugestie, informacje i rozstajemy się, i proszę bardzo, im szybciej tym lepiej – do słońca, do mycia, do śniadania. Po raz pierwszy od ho, ho myję się cały w ciepłej wodzie, pierzę brudne ciuchy, rozwieszam – pełny relaks. Słoneczko jakby w nagrodę daje pełnię swoich możliwości. Pierwszy dzień bez deszczu, bez śniegu, bez chmur – czyżby coś się miało zmienić? Gitara, obiad, przewieszanie prania, klarowanie lin, porządki w namiocie. Jutro wychodzą Walek i Słoń, my pojutrze, lub popojutrze, zależy od sytuacji w ścianie. Dzisiaj Napał i Rafał nie robili zbyt wiele, tyle tylko, że przesunęli górny namiot spod ciekącej przywieszki (będzie on od tej pory stanowił – uwaga panowie, bacność! – obóz I, można spocząć). I to by było tyle, jeśli chodzi o tę „szybką” dwójkę. Nic to, Walek ze Słoniem powinni pociągnąć jutro wyżej, a pojutrze może, może stanie, no zobaczymy co będziemy jeść tej zimy. Faktem jest, gdy patrzy się na ten ogrom przed twarzą, że zaledwie uszczknęliśmy kawaleczek, epizodzik z większej całości. Na razie, bo idzie nieźle, a przynajmniej jest wola do dalszego „uszczkiwania” (nie mylić z czkaniem, bo to zgoła co innego).

8 września

Fatalny dzień, chociaż nic nie zapowiadało takiego finału. Słoneczny poranek, kawa do łóżka (czyt. do śpiwora), śniadanie, gitara, suszenie resztek z wczorajsza, mycie głowy (niestety), wyprawa z Kapralem na lodowiec po porzucone przez Jugoli rękawice, obiad, klarowanie czeskich poręczówek, pakowanie plecaków, kolacja...

Pierwsza przykra rozmowa – Janusz w ostrym tonie zwraca Krzyśkowi uwagę na niewłaściwy sposób odnoszenia się do chłopaków,

Kup książkę

Poleć książkę

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 